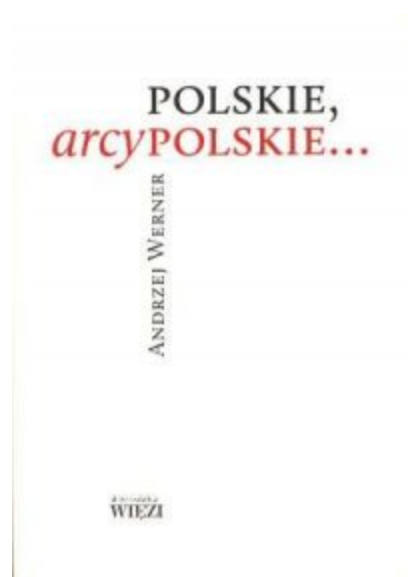


Polskie, arcyPolskie... - Andrzej Werner

Myślę, że taką jest i dzisiaj. Obawy się spełniły. Jesteśmy wolni, a jednocześnie (auto)zniewoleni. W życiu publicznym, nawet towarzyskim, ale także w kulturze.



Myślę, że taką jest i dzisiaj. Obawy się

spełniły. Jesteśmy wolni, a jednocześnie (auto)zniewoleni. W życiu publicznym, nawet towarzyskim, ale także w kulturze.

Polskie, arcy-polskie...

Andrzej Werner

wydawca: Więź

ilość stron:280

Przedmowa

Już niespełna ćwierćwiecze minęło, od kiedy książka *Polskie, arcy-polskie...* ukazała się nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWA, niestety – w dość słabo czytelnej edycji, czym zresztą przejmowano się, ale nie nadmiernie, bo i tak, kto chciał, a chcących było wielu, zdzierał oczy na produkcji podziemnych wydawnictw. W kilka miesięcy później, już elegancko, książkę opublikowano w

londyńskim Polonia Book Fund, ale było to wydanie trudniej dostępne w kraju. Upływ czasu nakłada na mnie dzisiaj zobowiązania. Choć być może chciałoby się zmienić coś więcej niż znaki przestankowe i jawne nieporozumienia stylistyczne, ale nie wypada i nie przystoi. Książka należy do swojego czasu, a ten czas za oknem zmienił się jeszcze bardziej, niż proste daty na to wskazują. Czas we wszystkich swoich wymiarach i kontekstach, przede wszystkim kulturalnych, bo to chyba najważniejsze, wszak polityka i obyczajowość też należą do szeroko rozumianej kultury. Rozpatrywana zaś przeszłość zawsze odnosi się do dnia dzisiejszego. Oddać wszystko przeszłości? To też nie uchodzi. Wszak zawsze liczymy na to, że coś istotnego przekroczy ograniczenia własnego czasu i prześlizgnie się do nieznanego, ale jakoś przewidywanej przyszłości.

Uwaga na poły techniczna. Kiedy w tekście książki piszę: „teraz”, „dziś”, „z dzisiejszego punktu widzenia”, „do dnia dzisiejszego” itp., a piszę dość często, bo jest to tekst z każdego punktu widzenia wyraźnie datowany, mam na myśli czas ówczesny, lata 1984-1986.

Co to był za czas, kiedy pisałem *Polskie, arcypolskie...*, gdzieś od 1984 do późnego 1986 r.? Czas zły. Ciągle jeszcze nie dość przypominać, że wprowadzenie stanu wojennego to była nie tylko decyzja, usprawiedliwiana później groźbą sowieckiej interwencji, ale realizacja czasu przemocy. Przez cały okres 1982-1989 to nie akty gwałtu znaczyły czas, ale czas był gwałtem. Czas tylekroć ponawianego podczas mojego życia tryumfu podłości, świadomej polityki premiującej wszystko, co niskie, mierne, uległe, rozbijającej w życiu społecznym i kulturalnym jakiegokolwiek autentyczne więzi, tak bliskie we wspomnieniach pierwszej Solidarności. To nie tylko złowrogie wydarzenia, tak dobrze pamiętane, nadawały czasem Jaruzelskiego ponurą barwę, ale przede wszystkim codzienna praktyka.

Były jednak możliwości obronne. Stworzyły je ludzkie działania mądre, odważne, ale dlatego właśnie – podziemne. Dla pisarza możliwość wyzwolenia przynosił drugi obieg i wydawnictwa zagraniczne. Pisywałem od kilku lat dość regularnie poza cenzurą, a jeszcze dłużej gadałem, i to czasem całkiem publicznie, doświadczyłem więc dobrodziejstw egzotycznej nieobecności cichego współuczestnika krytycznych zapędów. Wówczas jeszcze nie podejrzewano, że zły czas miał również w tej współpracy zasługi: formotwórczą rolę języka ezopowego doceniono dopiero po fakcie. Jednak dopiero pisząc tę książkę, po kolei, od pierwszego zdania do ostatniego, odczułem w pełni radość przebywania na wolnym obszarze.

Ale to tylko osobiste drobiazgi. O tyle istotne, że określają punkt odniesienia tej wycieczki w czas przeszły, wówczas jeszcze niedokonany. Wycieczki dość wojowniczej, zważywszy, że skoncentrowałem uwagę nie na zwalczaniu przeciwników, serwilistyczną wobec reżimu literaturę i kino zostawiając poza polem refleksji, ale na zaczepkach wobec „swoich”, cenionych przez siebie pisarzy i filmowców, prezentujących w swojej twórczości postawy, które jakoś tam realizowałem, skromnie drepcząc zblizoną drogą. Zaczepki? To źle powiedziane. Używam tego określenia dlatego, że taki był po części odbiór. Pełen zdumienia, że się czepiam wybitnych twórców, że im wytykam, a to nie zawsze zgodny z prawdą historyczną charakter rozrachunków z przeszłością, stanowiący – bywało – koncesję na rzecz dozwolonych i chętnie widzianych wykładni, a to znowu wieloznaczność funkcji społecznych, jaką spełniają. Doczekałem się nawet, i to całkiem niedawno, zestawienia tej książki z *Hańbą domową* Jacka Trznadla (w książce Przemysława Czaplińskiego *Polska do wymiany*). Jeśli będę oponował przeciw takiej interpretacji, to przecież nie ze względu na pamięć o własnych intencjach, ale ze względu na tekst, który mam przed sobą. Nie ma tu pojęcia winy, nie ma podziału na niezłomnych i tych, którzy dali się kupić czy ogłupić, nie ma śladu

lustracji *avant la lettre*.

Jest natomiast wspólnota żyjących w kulturze zniewolonej. Zniewolonej nie do końca, bo z obecnym oporem przeciw zniewoleniu, tak czy inaczej rozumianym wyrywaniem się na swobodę, ale kontrybucję płacili wszyscy. Jedni większą i chętniej, inni mniejszą i z bólem, ale jednak. Przypominam te kontrybucje, bo nazbyt często o nich zapominało, a dobre samopoczucie rzadko bywa sprzymierzeńcem artysty. Świadomość zniewolenia jest natomiast nieodzowna, by wiedzieć, co czynić należy dziś i jutro.

Pierwszym, kogo zaczepiam, jestem ja sam, w całym wstępnym rozdziale. I nie za to, co w życiu sknociłem, ale przeciwnie, za to, z czego byłem i jestem dumny. To oczywiście rozdział o Borowskim, świadczący, że coś mnie boli. Wypieram się *Zwyczajnej apokalipsy*? W żadnym wypadku. A jednak uznaję wreszcie, po czasie, argumenty Jana Błońskiego. Czymś mnie pociągają. Nawiasem mówiąc, to była rozmowa literacka, trwająca przez długie lata w napisanych tekstach, rozmowa, której można mi pozazdrościć. Bo to była rozmowa, a nie kłótnia – i to o sprawach najważniejszych.

Sednem sporu o Borowskiego, przede wszystkim mojego własnego sporu z samym sobą inspirowanego między innymi wspomnianymi wątpliwościami Błońskiego, obok Mannowskiego (później – Miłoszowskiego) problemu estetycznego przymierza ze złem, była waloryzacja postawy bezwzględnie krytycznej, pewnego rodzaju absolutyzmu poznawczego, który nie uznawał żadnych względów poza celem poznawczym właśnie, rozbijał wszelkie bariery obronne, zrywał troskliwie zaciągnięte zasłony, uświęcone tradycją mity demaskował jako mistyfikacje. Aktualne funkcje polityczne takiej postawy wobec fikcyjnego świata propagandy komunistycznej były oczywiste, ale ofiarą padały także tradycyjne szanse obronne przeciw obcej opresji;

tendencja demitologizacyjna w ówczesnej kulturze mieściła się na antypodach jakiegokolwiek konserwatyizmu. Po książce o Borowskim, szczególnie radykalnym przedstawicielu tej tendencji, wielokrotnie i na różnych polach manifestowałem zbliżone przekonania, solidaryzowałem się z literaturą i filmem, które odzierały historyczne i współczesne opowieści z różnorodnych złudzeń, wmówień i kapliczek. Czy *Polskie arcy-polskie...* oznaczało generalny odwrót od tych tendencji, zmianę frontu?

Pytam, bo pojawiły się takie interpretacje. Ostatnio we wspomnianej książce Czaplińskiego, gdzie autor uznał to moje pisanie za ważne dla czasów przed politycznym przełomem, ale „wypracowane stanowisko” określił jako tradycyjnie polsko-konserwatywne. Zdumiało mnie to mocno, bo jakoś sam siebie nie potrafię w tym rozpoznać. Co ważniejsze nie widzę tego w tekście. Przede wszystkim obca mi była potrzeba wypracowania stanowiska, które dziś rozumielibyśmy w kategoriach politycznych. Kryje się tu jawny anachronizm: pamiętajmy, że przeciwnikiem politycznym był wówczas system komunistyczny, czy też po prostu tak zwany realny socjalizm z przewodnią rolą partii. I wobec tego przeciwnika byłem otwarcie zdeklarowany i rozpoznawany nie tylko przez SB i w obrębie środowisk bynajmniej nie konserwatywnych.

Nie należy mylić zmiany akcentów ze zmianą całej postawy. I tak jak garstka goryczy miała zepsuć nazbyt już rozdmuchany mit kultury nieustępliwie walczącej, konfrontując ją z nieco bardziej prozaiczną rzeczywistością prostych faktów życia w niewoli, w takim samym stopniu nie oznaczała oskarżenia tej kultury według kryteriów wyprowadzonych nie z tego świata, nie z tej rzeczywistości. Miała natomiast wzmóc wolę działania skutecznego – w tych właśnie, a nie innych okolicznościach. Płaciła nawet za to konkretną cenę – zepchnięcie na dalszy plan autotelicznych funkcji dzieła artystycznego.

Ukazanie nieuniknionych uwikłań literatury w sieć półprawd i dwuznacznych funkcji wskazuje właśnie na kontynuację krytycznego, demitologizacyjnego etosu również w *Polskim, arcypolskim...*

Zmiany akcentów. Myślę, że nie byłem samotny z niepokojami, które kazały mi te zmiany wprowadzić. Nie tu miejsce, by dokładnie charakteryzować ich symptomy. Niektóre jednak warto wymienić, bo zapewne odcisnęły swoje piętno na moich poszukiwaniach. Ogromne znaczenie miała publikacja *Obecności mitu* Leszka Kołakowskiego, postaci szczególnie ważnej, z perspektywy czasu – najważniejszej dla krytycznego ducha kultury popaździernikowej. Relacja wobec mitu była punktem centralnym, miejscem newralgicznym sporu. Rewaloryzacja przez Kołakowskiego mitu jako szczególnego stanu skupienia wartości afirmatywnych w opozycji do krytycznego, negatywnego porządku myślenia, przy jednoczesnym zachowaniu świadomości, tak silnie w najnowszej historii umiejscowionej, ogromnych niebezpieczeństw kryjących się w jednostronnej afirmacji, wskazuje na konieczność rozumnej koegzystencji przeciwstawnych w znacznej mierze porządków. Wskazując artystów i myślicieli niejednoznacznych pod interesującym nas względem, trzeba wskazać na rosnącą w krajowym życiu intelektualnym, zwłaszcza od czasu powstania drugiego obiegu, obecność Czesława Miłosza. Wiersze i eseje tworzone aktualnie, ze szczególnie nas tutaj interesującą Ziemią *Ulro*, ale i wcześniejsze, odczytywane w zmienionym kontekście, na przykład polemikę Miłosza z Gombrowiczem, relacjonowaną obszernie w *Dzienniku*.

Ogromne znaczenie miały oczywiście wydarzenia wielkiej historii: postać i przesłanie Jana Pawła II, wzmożona praca u podstaw niezależności polskiej kultury i życia społecznego, i okres pierwszej Solidarności, wzrost wiary w polską zbiorowość, jej siłę i zdolność moralnego odrodzenia. I skuteczność tego działania wbrew – tak łatwo zwyciężającej – ciemności czasu stanu wojennego. Chciałoby się

wzmocnić te więzi wspólnotowe, zwłaszcza że już w czasie przedłużonego stanu wojennego, to znaczy aż do '89 roku, niepokoiły obserwacje wskazujące na ich stopniowy rozkład, w stosunku do imponującej manifestacji po sierpniu '80. Więzy cementowanych nie przez bagaż tradycyjnych wyobrażeń, ale przez zespół zadań do wypracowania i realizacji – jasnych w czasach komunistycznej opresji.

Jak to wygląda z dzisiejszej perspektywy? Znaleźli się gracze, którzy postawili na zaczerpnięte z tradycji polskie residua, nie bacząc na ich jakość, nie bacząc na skutki, jakie przynieść muszą w zmieniającym się nagle świecie – jedyne, co się liczy, to polityczna skuteczność, ilość wyborców skłonnych poprzeć to, co stare, wiadome, jakoby dobrze znane. To, co wylazło przy tym z worka – przeraża, a co najmniej, używając już zobiektywizowanego języka, dzieli polskie społeczeństwo jak nigdy wcześniej. To znaczy dzieliło i wcześniej, ale nigdy tak głośno; możliwość wzniecenia hałasu stała się racją bytu mediów. Trzeba przyznać, że nie doceniłem aktualnej siły i głębokości zalegania w zbiorowej podświadomości polskich regresywnych mitów ofiary i męczeństwa.

Ale dość. Tak wchodzi się w język, którego za wszelką cenę chciałbym uniknąć. Język, który przeczy najistotniejszym założeniom książki, którą napisałem przed ćwierćwieczem. Wspominałem, że pisałem ją, żeby się wyzwolić. Ale wyzwolić nie tylko od nakazów i zakazów cenzury, wypowiedzieć treści, które były niemożliwe do wypowiedzenia w oficjalnym druku. Pozostawały jeszcze nawyki wykształcone przez lata niewoli, również i te znacznie wcześniejsze niż aktualnie wówczas praktykowane. Dotyczące między innymi nakazu skuteczności podjazdowej walki z rzeczywistym ciemieniem. Każda postawa, każda myśl jest prześwietlana pod tym kątem widzenia. A więc założenie maksymalnej jedności, taktycznych sojuszy – jeśli zajdzie potrzeba, zwierania szeregów. Bywało, i to bywało nader często, że jeden „obóz”

dzielił się, ze względu na takie czy inne różnice, na dwa, a nawet więcej „podobozów” („frakcji”). Wówczas taka sama dyscyplina dotyczyła owych mniejszych całości, i to paradoksalnie w sposób nie mniej, a jeszcze bardziej rygorystyczny. Owszem, politycznie rzecz biorąc, czy w ogóle praktycystycznie, była ona niejednokrotnie potrzebna czy nawet konieczna. Choć prowadziła niekiedy do gorszących ekscesów; strażnicy spoistej tożsamości nigdy nie należeli do najbardziej spolegliwych. Dla samej kultury była po prostu zabójcza. Uniemożliwiała jakąkolwiek próbę zgłębienia najważniejszych problemów – niezależną od doraźnych implikacji.

Stawało się to dla mnie, cokolwiek rozzuchwalonego możliwością swobodnej wypowiedzi, sytuacją nie do zniesienia. Dalej tak nie można. Trzeba przedstawić rzeczy, fakty kultury nas wszystkich pospołu, tak czy inaczej – zniewolonych. I to już najwyższy czas, by przygotować się do życia w wolności – z jej własnymi problemami. Kultura jest właściwym terenem do takiej nauki.

Spotykałem się z połajankami, że „czepiam się” tych czy innych wybitnych i zasłużonych pisarzy, filmowców. Jeśli towarzyszyła temu choć odrobina dyskusji merytorycznej, uznawałem rzecz za właściwą i zrozumiałą. Gorzej, gdy spotykały mnie sugestie, że zmieniłem front, przeszedłem na inne pozycje. Bardzo mnie ucieszyła zatem nagroda „Solidarności” Pracowników Wydawnictw za najlepszą książkę polskiego autora zamieszkałego w kraju wydaną w obiegu niezależnym w 1987 roku. Większej debaty w prasie niezależnej książka jednak nie wywołała. Była jakby niewygodna.

Myślę, że taką jest i dzisiaj. Obawy się spełniły. Jesteśmy wolni, a jednocześnie (auto)zniewoleni. W życiu publicznym, nawet towarzyskim, ale także w kulturze. Wystarczy jedno zdanie na jakiś bardziej zasadniczy temat: tradycji, historii (w tym na przykład historii

opowiadanej w *Polskim, arcypolskim...*), a natychmiast pojawi się pytanie, jakie funkcje polityczne spełnia, jakiej postawie odpowiada. Jaką gazetę czyta jej autor i w jakiej drukuje. I przeciwnie: jakiegokolwiek twierdzenie postaci o określonym stanowisku politycznym są natychmiast redukowane do tego właśnie stanowiska. Niekiedy zresztą nie bez powodu, co jest jeszcze jedną figurą tej politycznej zaplatanki. Racje przestają jakby istnieć, tracą własną konsystencję, autentyczna debata staje się co najmniej trudna i ograniczona do kwestii neutralnych, a ilość kwestii neutralnych ciągle maleje. Literatura, film czy teatr zmierzają w kierunku dowolności kryteriów poznawczych i estetycznych i to również nie ułatwia sytuacji, oddaje poszczególne wypowiedzi o świecie w pacht kryteriom zewnętrznym, a wśród nich najbardziej agresywne są właśnie kryteria polityczne. Nawet tam, gdzie nie są w żaden sposób uzewnętrzniane: lansowanie „swoich” artystów, bez względu na obecność/nieobecność przesłanek politycznych czy ideowych to również znak czasu zacierający kontury czegoś, co kiedyś było określane jako krytyka literacka czy w ogóle artystyczna.

Może więc *Polskie, arcypolskie...* przyda się do czegoś i dzisiaj?